(Nro. 95.)

ROZMAITOŚCI.

We Wtorek Nro. 48. 27. Kwietnia 1819.

Wiek dziecinny.*)
Przekład z Salisa (**).

O luby wieku dziecinnego czasie!
Tobie poświęcam te pienia.
Słodkiem wspomnieniem me serce się pasie,
Miłe o tobie marzenia.

Już wiele w życia zaginęło biegu,
Ty zawsze zdala iaśnieiesz;
Iak złote słońce po smutnym noclegu,
Podobnie do mnie się smieiesz.

Widzę cię ieszcze przed memi oczyma,
Jak państwo przebiegasz Flory,
Jak Zefir szaty twe dziecinne wzdyma,
I twemi igra kędziory.

Pamiętam ieszcze tę wstęgę zieloną,
Która me członki dzieliła;
Sukienkę w różne kolory upstrzoną
Co słabe ciałko me kryła.

Tkwi w sercu roskosz, którey doznawałem,
Gdym usiadł między dziewczęty;
Kiedy im krasne bukiety zwiiałem,
Niewinnych zabaw ponęty.

O słodki czasię! z iak liczney przyczyny,
Mogłem się nazwać szczęśliwy,
Kiedym na rzniętym koniku z leszczyny,
Oyczyste przebiegał niwy.

Nie wiódł mnie pozór, ni próżne zaszczyty,
Ni żądza sławy gorąca,
Tylko łan w buyny plon żniwa obfity,
I wiosna łąki barwiąca.

Dziecinne wszystkie były me życzenia,
W szczupłym zamknięte zakresie,
Nie chciałem wsławiać moiego imienia
W boiu, co chlubną śmierć niesie.

Gdym moie woysko kreślił na papierze,
Lub zręcznie ustawiał w szyki,
Byłem dumnieyszy, iak ty bohatérze,
Co nękasz twe przeciwniki.

Niekuty ieszcze w żadney żądzy pęta,
Na zawiść ieszcze za młody,
Nieobchodzili mnie mędrce, xiążęta,
Ni ich niszczące niezgody.

Rozkoszny czasie niewinney młodości!
Wzdycham bez skutku za tobą.
Już się nie wrócisz — zniknąłeś w wieczności,
Późno się dręczę żałobą.

Cni towarzysze! Jak wielkie odmiany
Czas rączy znami porobił!
Wiém, że nie ieden nie byłby poznany,
Co grono nasze ozdobił.

Na ławach, gdzieśmy niegdyś siadywali,
Sam smutek siedzi ponury;
A owe krzewy, gdzieśmy się bawiali,
Wznoszą wierzchołki do góry.

Już śluby wieczne pościerały może
Z serc naszych wspólne zamiary;
A nie iednego inż wyroki Boże
Na smutne zaniosły mary.

Jak szczupłe gróno! Grzebie przeznaczenie
Grób zimny i tey iuż szczątce —
Kto pozostanie, niechay choć westchnienie
Poświęci drogiey pamiątce.

...i

Ludwika
czyli
skutki złego wychowania.
(*Powieść prawdziwa*). (***)

Ludwika była iedyną córką dosyć maiętnych rodziców. Natura uposażyła ią hoynie wdziękami, a piękne iey serca i umysłu przymioty, potrzebowały tylko uprawy, ażeby iey przysłość szczęśliwie zakwitła. Lecz, niestety! pieszczotliwość nierozsądnie kochaiących rodziców, była powodem, że te naykosztownieysze iey młodości kwiaty; w pączkach iuż zaniedbywane, zwolna usychać poczęły. Wychowanie iey powierzono młodey,

*) Rękopism nadesłany Redakcyi od nieznaiomego.
(**) Porownać poezyie J. G. Salisa wydane drukiem w Zürich 1818. r.
Red.

(***) Rękopism tegoż samego nieznaiomego.

niedoświadczonéy guwernantce. Bez gruntownych zasad moralności, nie znaiąc powołania swoiego, niepomniąc, że od niéy może zależyć szczęśliwość życia Ludwiki, wypełniała obowiązki swoie dla tego tylko, że za to płatną była. Niezważali na to miłością zaślepieni rodzice, i owszem, kiedy guwernantka Ludwisie do nauki lub robótek czasami przymuszała, martwiło to czułą matkę, że kochana iéy córunia tyle ponosić musi. Tém bardziéy więc zaniedbywała Guwernantka ukształcenie Ludwiki; im częściéy spostrzegała, że to samym rodzicom nieprzyiemność sprawia. Równie iéy serce leżało odłogiem; nie padło tam żadne ziarno moralności, bo któż ie miał zasiéwać? Nie wkorzeniło się żadne piękne lub szlachetne czucie, bo brakowało przykładów, brakowało pochopu, aby się wrodzone obudzać i rozkrzewiać mogły. Jeżeli iaki poczciwy przyiaciel wystawiał rodzicom szkodliwe skutki tego zaniedbania, mniéy na to zważano; a kochana mama, ochraniaiąc swoią iedyną córunie, uniewinniała ią słabością zdrowia, lub starała się dowodzić, że posiadanie różnych wiadomości mniéy iest kobiétom potrzebne; z resztą sądziła, że wdzięki Ludwiki, wynagradzaiąc niedostatek innych przymiotów, mogą iéy ziednać męża, a to było u niéy wszystkiém. Nie było wzmianki o dobréy żonie, o troskliwéy matce, o rządnéy gospodyni, bo tych zalet sama nie posiadała.

Tym czasem upływały płodney młodości chwile — piękna Ludwisia stawała się coraz pięknieyszą, lecz powabna kibić, śmiéchliwe oczka, i gładka twarzyczka, niezdołały tyle zaymować, żeby nie można było poznać, iak iest ubogi iéy umysł i serce. Cokolwiek francuzczyzny było wszystkiém, co posiadała Ludwika; a kawałek perkaliku, wystarczał iéy na rok cały, ażeby podczas przebybywania gości dzierganiem się trudnić.

Iuż dochodziła lat piętnastu, nie maiąc naymnieyszéy skłonności lub chęci do iakiego zatrudnienia; nudy iéy zawsze i wszędzie towarzyszyły. Teraz odkryła w swoiém zwierściedle, że iest piękną, a nie brakowało na wiercipiętach, którzy, potwierdzaiąc to iéy odkrycie, tysiącznemi pochlebstwami iego wartość zwiększali. Żaczęła częściéy w towarzystwach bywać, a tu dopiéro uczuć się iéy dawało, że wdzięki są iéy iédyną zaletą, którą nieiako nad inne błyszczeć może. Kiedy inne iéy wieku dziéwczęta o wszystkiem pięknie rozmawiały, o wszystkiém rozsądnie i z wiadomością sądziły, ona była niemą; siedziała iak na szpilkach, kiedy na nią koléy przychodzić miała; a gdy przyszła, wlepiła oczy w sęczek na posadzce; główka iéy odwracała się od téy strony, skąd to okropne zapytanie przychodziło, a róża z i lilią przemieniały się ciągle na iéy licach. — Poznawała powoli Ludwika, iak bardzo z téy strony upośledzoną była; lecz minął iuż czas, ażeby się brak ten, dał był wynagrodzić. Martwiło ią to nie mało, gdy widziała, iak inne mniéy piękne więcey zaymuią, i powszechne pochwały i uwielbienia, iako hołd pięknych przymiotów odnoszą. Obrażona iéy próżność, przemyśliwała więc nad sposobami, któremiby przecie mogła ściągać większą na siebie uwagę i wynalazła — wywyższenie swoich wdzięków.

Odtąd powstała w niéy namiętna żądza do modnych ubiorków, a przykład matki, która całe życie na ubieraniu się i rozbieraniu trawiła, podsycał tę żądzę. Wszytko, cokolwiek tylko uyrzała, co sobie upodobała, albo uroiła, musiała mieć koniecznie; wszelkie iéy chęci i życzenia spełniane; piękna Ludwisia wszystkiego na mamie wymogła, tém bardziéy że w tym sposobie widzieli rodzice iedyne sidła, w które się ktoś mógł uwikłać.

Próżność i moda stały się żywiołem Ludwiki. Dnie trawiła przy gotowalni, w nocy marzyła o tańcach i stroiach. Za każdem zaproszeniem na bal albo piknik, wszczynał się rozruch w iéy główce: „Marysiu, Marysiu!“ wołała, załamuiąc ręce do swoiéy garderobiany, „Coż ia tu wdzieie? Powiédz, poradź, kochana, droga Marysiu! Robiono więc układy, tysiączne plany wynaydował przemysł garderobianki, lecz żaden Pannie Ludwice nie przypadł do smaku. Zawsze czegoś niestawało, wszędzie było coś do zarzucenia, a często cała sesyia kończyła się na tém, że Marysia obficie pięknemi słówkami i własną rączką Pani ugarnirowana, z płaczem odeyść musiała. Naylepiéy wprawdzie było cały zapas sukienek i stroiow na siebie powieszać, ażeby każdy z wielbicielów mógł sobie to za przedmiot moich pochwał obrać, co mu się szczególniéy spodoba; lecz ponieważ to wtenczas modą nie było, biédna Ludwika nie mało nad wyborem głowy nałamała. Zazwyczay w takim razie wpadała w monolog: „Ten i ów zapewnie tam będzie. Ci mnie iuż w tym ubiorze widzieli mogliby myśleć, że nie mam innego . . . lecz w tym przecież naylepiéy wyglądam . . . Ale co u innych w przypodobaniu się zy-

skam, to znowu u tamtych stracę . . . i. t. p. Zbliżał się czas ubiérania, Panna Ludwika zabiérała się do toalety. Była to pora, w któréy Marysię burze z gradem i piorunami czekały. Jeżeli który loczek nie miał potrzebnéy wężykowatości, szlarka się pomięła, lub iakie dawne uszkodzenie uzupełnionêm nie było, mogła iuż Marysia stawać w szyku boiowym, ażeby się przynaymniéy od gradu zasłonić, lub zręcznie wyboczyć. Słoiki z pomadą, grzebyki, brykle, żelazka, flaszeczki, świszczały po pokoiu. — Wreszcie po dziesięciogodzinnych grymasach, gniewach i zgryzocie, stanęła Panna Ludwika należycie wykoczkodaniona w zupełnéy gotowości. Wsiadła tedy do powozu, lecz i przez drogę nie miała spokoiu; myśl, że na téy zabawie może bydź inna modniéy i piękniéy ubrana, dręczyła ią ciągle. A iak na nieszczęście, zawsze ią to prawie spotykało. Musiała biédna własnemi oczami patrzyć, gdy nowe iakie czupiradło oglądano, chwalono i zdumiewano się nad iego osobliwością. Têm boleśnieyszêm było dla niéy to upokorzenie, że na nią, którą ubior tyle znoiu i umartwienia kosztował, nikt okiem nie rzucił. Obcy iakiś Jegomość wychwalał ubior tamtéy znowu damy, zachwycał się iego pięknością, a iey gust przecudny pod niebiosa wynosił. Ludwika miała takiż sam w domu, lecz iak na nieszczęście dziś go nie wzięła, a nie miała na tyle odwagi ogłosić to wszystkim. Co za nieznośne męczarnie! Nayszczęśliwszą była wtenczas, gdy na wieś do swoich znaiomych wyiechała. Tu dopiéro otworzyło się iéy pole do licznych triumfów. Za wszelkie upokorzenia i zgryzoty, które wstolicy ponosić się iey zdarzało, tu zupełnie wynagrodzona została. Codziennie inaczéy ubrana, obieżdżała wszystkie znaiome domy. Pani Komornikowa, Pani Sędzina, Pani Marszałkowa, zastawiaiąc się nad każdą nawet niteczką w iéy stroiach, wielbiły gust wyborny pięknéy ich właścicielki. Co za roskoszna chwila dla Ludwiki, kiedy ią, iak nową lalkę pomiędzy dziećmi, lub iak modną iską wichę w tłumie korneciarek, na wszystkie strony obracano, opatrywano, i z krzykliwym hołdem z rąk do rąk oddawano? nie mogła się poiąć z radości, tryumfuiący uśmiech malował się na ié twarzy, a kiedy w takim stanie litośnym wrokiem na nikczemne parafianki spoglądała, szczęście całego życia zdawało się iéy lice osiadać. — W niczêm nieprzesadzam, znałem ią i miałem sposobność widywać ią w podobnych położeniach.

Z takim sposobem myślenia, trawiąc w płochéy próżności i bez zatrudnienia iednostayne życie, zbliżała się Ludwika do téy wieku pory, w którey do usposobionych skłonności przyłącza się wrodzona skłonność natury. Dotąd iedynie stroiami zaięta, mniey zważała na otaczaiące ią tłumy wielbicielów. Wszystkie ich pochlébstwa ściągała do swoich ubiorków; uczucia serca tłumiła namiętna żądza próżności. Wreszcie sami rodzice zwrócili iéy uwagę do tego przedmiotu. Zaczęła się w niéy obudzać chęć podbiiania. Dotąd stroiła się tylko dla tego, że to pochlebiało iéy lekkomyślności, teraz zaś widziała prócz tego w stroiach sposoby uiarzmiania mężczyzn. Innych sposobów nie posiadała. Serce iéy, z wszelkiéy zaniedbane strony, nie było zdolne uczucia téy szlachetnéy miłości, z którey wytryska czyste źródło szczęśliwości ludzkiéy. Próżnéy Ludwice dosyć było na têm, aby ziednać sobie czciciela swych wdzięków i stroiów i pozyskać męża. Dopięła swoiego zamiaru. W krótce uyrzała się otoczoną licznym orszakiem rycerzów, którzy pod chorągwiami Amorka nieraz iuż zwycięzkie odprawiali boie. Każdy swoim sposobem starał się o względy piękněy Ludwiki.

Pomiędzy temi znaydował się młody mężczyzna, którego szlachetny charakter, talenta i zasługi, godne były szczęśliwszego losu. Czuł wartość swoią. Oświadczył rodzicom Ludwiki szczere swoie zamysły. Lecz ci, zasadzaiąc na Jaśniewielmożności szczęście swoiéy córki, nie chcieli zięcia z miernym maiątkiem, bez dostoyności i tytułów. Piérwszy raz w życiu do prósb się poniżył. Do czegoż miłość nie przywiedzie? Wdzięki Ludwiki zaślepiły go, stłumiły władze rozsądku. Rozkochany widzi w przedmiocie swoich zapałów, same tylko dokonałości. Równie i ón, nieśmiałą iéy głupowatość mniemał bydź skromną prostotą; z tąd wnosił na szczęśliwość małżeńskiego pożycia i dobroć serca: Namiętność nie dała mieysca rozumnemu roztrząsaniu iéy przywar i błędów. Uyrzał iéy wdzięki, zapomniał o innych przymiotach i został nieszczęśliwym. Oby przykład iego stał się przestrogą dla tych, którzy sobie towarzyski życia obierać zamyślaią! — Nie wdzięki, rozum tylko i serce, tworzą prawdziwe i niezmienne szczęście.

Karol (tak się ten młodzieniec nazywał) widząc ze strony rodziców zniszczone swoie nadzieie, odkrył Ludwice miłość swoią. Ta zrobiła go wymownym; nayżyw-

szemi kolorami wystawił iey gorącą swoie namiętność, żalił się na nieczułość rodziców i błagał o wzaiemność. Karol był przystoynym, iego wyrazy pochlebiały iéy próżności, podobał się iéy, i wkrotce pozyskał iéy względy. Zapewniaiąc go, że wszelkich użyie sposobów. ażeby rodziców nakłonić, postanowiła sobie, otrzymać ich zezwolenie tą drogą, którą iuż nieraz nowe stroiki otrzymywała. Uparła się, groziła nawet, a rodzice na wszystko zezwolili.

Postanowiono czas zaślubienia, a w iego przeciągu miał Karol poznać swoią narzeczonę. Lecz iuż było zapóźno. Krótkie tylko chwile iemu poświęcała, resztę czasu stroiom. Wszystkie niedorzeczności i szaleństwa, iakie tylko moda wynaleźć może, zaprzątnęły iey umysł. Dzień ślubu był dla niéy dniem roskoszy, iedynie dla tego, że ią w nowy, przepyszny futerałik zapakowano. Małżonek wziął ią do siebie. Nie żałował dobry mąż zbytecznych nawet wydatków, ażeby do iéy smaku przyozdobić pomieszkanie. Zdawała się bydź kontenta.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Sknerstwo Angielskie.

O Sknerstwie Angielskiem, które w krótce zmieni się w przysłowie tak, iak niegdyś wspaniałomyślność Angielska, przytaczamy tu dwa przykłady, wyięte z drugiey części „Rosenwalla malarskich widokoów i uwag„ w czasie podróży przez Holandyię, kraie Nadreńskie, Baden, Szwaycaryię i Wirtembergiię.

Przykład pierwszy. „W Szleithei mie ziechałem się z Damą Angielską nieiaką Lady F***, którey sposób postępowania, zniżył niezmiernie moie wysokie wyobrażenia o hoyności Angielskiey, Dama ta iechała w poiezdzie wielkim i pakownym; miała przy sobie do usług dwie Kobiet i dwóch mężczyzn, z których ieden był rodem z Zuryh, tego wzięła z sobą dla nieumieiętności ięzyka Francuzkiego, aż do Frankfortu. Pomimo tak liczney świty, wahała się płacić za 3go konia pocztowego, i obstawała przy tem, ażeby ią tylko dwoma końmi wieźiono. Wszystkie przedstawiania pocztmistrza były nadaremne, służący z Zurychu, który był pośrednikiem, rozpaczał nad iey sknerstwem, i przeklinał układy które z nią zawarł, lecz ona zupełnie obstawała przy swoiem zdaniu, i dopiero gdy półtory godziny wyczekała, i przekonała się,. że inaczey nie ruszyłaby z mieysca, skłoniła się do zapłacenia trzeciego konia. Postyliion, który ią przywiozł do Szleichtheimu rzucił iey pod nogi ofiarowany mu trynkielt. W Tutlingen, gdzie znowu ziechałem się z nią, niezapłaciła nic pocztmistrzowi za naypięknieyszy pokóy w którym przenocowała, a nawet i służącey nie dała trynkieltu, chociaż tam nie straciła nic wcale Pocztmistrz zapewnił mnie, że takie brudne sknerstwa zwykłe są u Anglików teraz podróżuiących i że często dla odebrania należytości swoiey a uniknienia złego obeyscia się, musiał w Policyi szukac pomocy“

„*Prykład drugi.* „W Sztutgardzie przyszedłem właśnie w sam czas do domu, abym był świadkiem kłótni wszczętey między oberzystą w czerwonym domu, a trzema Anglikami. Kłotnia ta była dla mnie nowym dowodem, iak mało Anglicy dzisieysi zasługuią na zaletę hoyności i wspaniałomyślności. Zaiechali oni przed oberzę, kazali zawołać, gospodarza i pytali się go o cenę za naiem pokoiów; na co odpowiedział oberzysta: że niema pokoiów dla takich gości, którzy podobne czynią zapytania, i zostawiwszy ich odszedł. Odiechali więc wyrzekłszy swoie. „God dam you!“ Pod Rzymskim Cesarzem, pod Królem Angielskim musiano odprawić ich podobnież, lub ieszcze niegrzeczniey ponieważ w kwadrans powrócili nazad i prosili oberzystę o dwa pokoie, nie pytaiąc się iuż o cenę; lecz ten pod żadnym warunkiem niechciał ich iuż przyiąć. Za wstawieniem się kilku przytomnych, którzy litowali się nad ambarassem Anglików podróżnych, dał nareszcie oberżysta nakłonić się ale pożałował swoiey powolności, ponieważ nie tylko drażnili go przez to, że wszystko, co sobie tylko podać kazali, zaraz gotowemi pieniędzmi płacili, lecz nadto wszczeli z nim kłotnię, o zmienianie kilku sztuk złotey monety; chociaż albowiem, odliczył im drobną monetę w przytomności kilku osób, które świadczyły że dobrze rachował, zadawali mu przecież że chciał ich oszukać. Przedmiotem tey sprzeczki były 24 krayeary, i dla tey bagateli, gdzie widocznie słuszności niemieli, kłócili się tak nieprzyzwoicie; że oberzysta zamyślał iuż żądać pomocy Policyi. “
